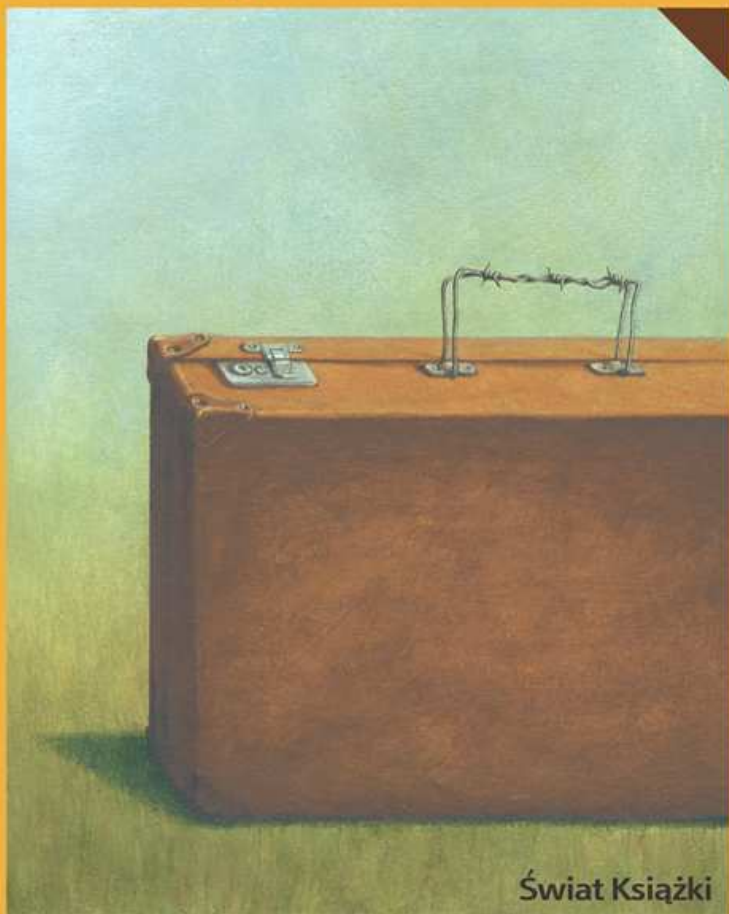


nowa
proza
polska

Uchodźcy
HeNRYk
GRynBERG



Świat Książki

Projekt graficzny serii
Małgorzata Karkowska

Ilustracja na okładce
Miroslaw Gryń

Redaktor serii
Paweł Szwed

Redaktor prowadzący
Ewa Niepokólczycka

Redakcja
Mirosława Łątkowska

Redakcja techniczna
Lidia Lamparska

Korekta
Jadwiga Piller
Elżbieta Jaroszuk

Copyright © by Henryk Grynberg, 2004
Copyright © for the Polish edition by Bertelsmann Media Sp. z o.o., 2004
Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

Świat Książki
Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o.
ul. Hankiewicza 2, 02-103 Warszawa

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych - jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-247-2751-3
Nr 90451378

Spis treści

Od Autora	5
1. Maheczo	7
2. Nie dajmy się zwariować	18
3. Być kimś	39
4. Uchodźcy z Dobrego	49
5. Rosyjska ruletka	61
6. Blues	77
7. Wujek Morris	87
8. Występy w Argentynie	95
9. Zupa jagodowa	108
10. Błąd	114
11. Ucieczka	125
12. Wojna polsko-żydowska	145
13. O, Beverly Hills!	152
14. Drzewko figowe	162
15. U stóp Hollywood	173
16. Cyrograf	185
17. Bookstore	196
18. Nieszczęśliwe wypadki	205
19. Męska przygoda	217
20. Sławiści i Słowianie	222
21. Epilog	235

Od Autora

Książkę tę pisałem od lata 2003 do lata 2004 z wyjątkiem rozdziału „Wujek Morris”, który ukazał się jako osobne opowiadanie w zbiorze *Szkice rodzinne* (Czytelnik, 1990), tylko w obecnej wersji wszystkie postacie noszą autentyczne imiona.

Uchodźcy są opowieścią pokoleniową o autentycznych ludziach i zdarzeniach, lecz ich interpretacja, miejscami czysto spekulacyjna, zawiera elementy fikcji literackiej, zwłaszcza w opisie okoliczności śmierci Krzysztofa Komedy i Marka Hłaski. Narrator jest oczywistym autoportretem, ale z dosyć odległej przeszłości, i autor nie zawsze utożsamia się z wypowiedziami, a tym bardziej niektórymi godnymi ubolewania postępkami tamtego młodego człowieka.

Aby opowieść była zrozumiała dla młodszego pokolenia, musiałem ponownie przytoczyć pewną znamioną ingerencję cenzury i parę upartych faktów historycznych z końca lat sześćdziesiątych, o których szerzej pisałem we wcześniejszych utworach.

Bardzo dziękuję Elżbiecie Czyżewskiej, red. Bożenie Dudko, dr Annie Frajlich, Adamowi Holendrowi, prof. Katarzynie Jerzak, Andrzejowi Krakowskiemu i dr. Włodzimierzowi Rozenbaumowi za materiały, dokumenty, informacje i konsultacje.

1. Maheczo

Pojawiał się około północy jak duch. Latem w szofer-skiej skórce, zimą w szoferskim kozuchu. Szatnia była obowiązkowa, ale nie dla niego, krawat był obowiązkowy, ale nie dla niego. Wszyscy cisnęli się do baru, żeby zobaczyć, usłyszeć, otrzeć się. Przez niego w Kameralnej zawsze brakowało miejsc. Tylko najodważniejsi ośmielali się do niego odezwać, bo kto się głupio odezwał, dostawał w zęby. No i snoby, którym wszystko imponowało:

– Widziałeś, jak mi Hłasko dał w zęby?

A dziewczyny, to wystarczyło, że spojrział. Doganiał najlepsze koleżanki z naszego wydziału. A raczej one jego doganiały. Nic przez to nie tracąc w naszych oczach, wręcz przeciwnie.

Jego *Pierwszy krok w chmurach* otworzył nam oczy, bardzo szeroko. Przywołał nas do porządku. To był cios w nos. Jajko Kolumba: wszystko nagle stało się oczywiste i wszyscy się dziwili, że nie wiedzieli. Urzekął cyzelowaną, ascetyczną prozą, jaką po polsku się jeszcze nigdy nie pisało. Stał się naszym głosem, naszym Jamesem Deanem, Elvisem Presleyem – nikt nie miał takiego wpływu na młodzież. Chwytałyśmy za pióra, każdy chciał być Hłaską. Na dziennikarce, gdzie wszyscy uważali się za przyszłych pisarzy, darto stare rękopisy i zaczynało od nowa. Nagle tyle było do opowiedzenia, tematy wzbierały jak fala. Przed wiele obiecującymi nowymi wyborami, które

rozpisał Gomułka, nasza ćwiczebna gazetka studencka posłała mnie do Iwaszkiewicza, kandydata na Sejm. Pytałem go przede wszystkim o Hłaskę. Powiedział, że pod jego brutalnością kryje się wrażliwa, delikatna natura, i podkreślił, że go zawsze popierał, i w warszawskiej „Nowej Kulturze”, i w paryskiej (też komunistycznej) „Nouvelles Littéraires”.

W rok po wyborach Gomułka zamknął nasz niespokojny tygodnik „Po prostu”, rozgonił naszą wezbraną falę. Myśmy dla niego zdzierali gardła na wiecach, przekonani, że to reformator, mąż opatrnościowy, a on się okazał komunistycznym falochronem i rozgonił nas pałkami, które w tym właśnie celu przywrócił, a które do tej pory uchodziły za symbol bezpowrotnej przemocy systemu kapitalistycznego.

Toteż kto mógł, wymykał się za granicę. Nowa klika się tym nie przejmowała, przeciwnie: mądrała z wozu, władzy łzej. Hłasce wręcz uniemożliwili powrót. Ale trend został: mocne powiedzonka, mordobicie, wóda i gorzki seks. Już nie „pryszczaty” fanatyk był bohaterem i nie inteligencik na rozdrożu, ale gorzki chuligan, któremu nie mogła (nie śmiała) odmówić żadna dziewczyna. Nie kawiarnia, nie fabryka i nie świetlica zetempowska były miejscem akcji, ale knajpa, a pisarz pił, bił i kłął jak jego brutalny bohater (o pisarkach się nie słyszało, pisarstwo było męską robotą). Trend był przemożny. Dymny i Iredyński poszli za Hłaską (na alkoholu) prosto na tamten świat. Brycht – też chojrak (ulubione słówko Hłaski), ale bez autentycznego buntu w podtekście – kluczył, sprzedając duszę, której nie miał, każdemu, kto chciał zapłacić. Nowakowski i Orłoś wyszli jakoś z tej męskiej przygody, bo za mało pili. Ja też nie mogłem się oprzeć i nawet zaniósłem do „Współczesności” taką próbkę pod znamienym tytułem *Dwie ćwiartki wódki*, ale na szczęście opublikowałem u nich wcześniej opowiadanie *Ekipa Antyгона*,

na prawdziwie mój temat, więc Terlecki powiedział: – My możemy zamieścić, ale po co to panu?

Ten twardy, „męski” styl z lakonicznym dialogiem i quasi-psychologicznymi repetycjami pochodził oczywiście od Hemingwaya, który objawił się nam nagle po Nagrodzie Nobla i wszystkiegośmy się od niego uczyli, choć w porównaniu z nami był rozkapryszonym pieszczochem, który wymyślał sobie problemy. Bo i za co on się tak na Amerykę obrażał? Że nie była Afryką, Hiszpanią, Kubą? Że nie miała wielkich łowów ani walki byków, ani tego nie-wiadomo-czego, którego podobno tak dużo w Paryżu? Że Amerykanki kastrowały swoich mężów? To rzeczywiście nieładnie. Myśmy dojrzeli dużo wcześniej niż jego Felix Macomber. Hłasko mając dziewięć lat, a ja siedem, on będąc świadkiem egzekucji na dziecku (patrz *Szukając gwiazd*), a ja będąc skazanym (patrz *Żydowska wojna*).

Różnica polegała również na tym, że Hemingway miał za granicą to wszystko, bez czego rzekomo nie mógł się obejść – Paryż, Afrykę, Kubę, a Hłasko nie miał nic poza Polską, jedyną krainą jego łowów, jedynym powietrzem, którym umiał oddychać. W Polsce zostali jego prawdziwi bohaterowie i daremnie ich szukał w Tel Awiwie, Ejlacie i Kalifornii. Byłem w tych samych miejscach w tym samym czasie co on, tam takich nie było. Wymyślał ich, podrabiał, nadmuchiwał aż do kiczu. Tam nikt tak nie mówił, nie myślał, nawet nie pozował. Zdawał sobie z tego sprawę, dlatego *Brudne czyny* zaopatrzył w disclaimer, że „nie jest to opowieść o kraju i jego obyczajach”, lecz „o wierności, którą człowiek usiłuje dochować ceniom”. Zabrakło jeszcze tylko wyjaśnienia, że opylanie pól z samolotu nigdy nie było tak ryzykowną „męską robotą” jak w jego fenomenalnej wyobraźni. Już więcej męstwa wymagało prowadzenie ciężarówek na polskich drogach, jak to opisał w swoim debiucie.

Szukał jak Dostojewski w kronikach policyjnych i sądo-

wych, lecz malutki Izrael to nie Rosja, Ejlal nie Syberia, inne tam były proporcje zarówno zbrodni, jak i kary. Już mamy złodziei! Już mamy włamywaczy! Już mamy prostytutki! Jesteśmy już normalnym krajem! – wołały z zachwytem telawiwskie „Nowiny” i „Kurier”, ale wciąż brakowało morderstw, bez których ani Dostojewski, ani Hłasko nie mogli się obejść (w *Brudnych czynach* jest ich aż pięć). Do fali uchodźców, których wypuścił z Rosji Breżniew, nie słyszało się nawet o biciu żon i nikt prócz Hłaski nie urządzał pijackich awantur. Dobrze trafił tylko na oszustów – drobnych, bo na izraelską skalę – którzy w dodatku mówili po polsku, i znakomicie ich odmalował w *Drugim zabiciu psa* i *Nawróconym w Jaffie*, z właściwym sobie czarnym humorem, sarkazmem i dialogami, które mogłyby rywalizować z Mrożkiem (widać podobieństwo i wpływ), ale Hłasko nie mógł się powstrzymać od mocnego uderzenia i popsuł świetną komedię, wciskając w nią na siłę sadyzmy z całkiem innej opery: Ukraińców, którzy zgwałcili dziewczynę, „a potem wyjęli jej oczy łyżką do herbaty”; butelkę, którą „nasi ludzie z podziemia” rozgnietli w pochwie dziewczyny, bo zakochała się w Niemcu (powtórzenie z *Miesiąca Matki Boskiej*) oraz żydowskie matki, „które w roku czterdziestym trzecim wrzucały swoje dzieci do ognia, unosząc je przedtem wysoko nad głową niby w wyrazie triumfu, podczas gdy Polacy stojący po drugiej stronie muru getta czynili wiele zabawnych uwag”. Wyjmowanie oczu łyżką sprzedawał w tym czasie również straszyciel Kosiński w *Malowanym ptaku*, podobnie jak i rozgniatanie butelki w pochwie dziewczyny, co według chłopców, którzy przeżyli wojnę w Rosji, należało do metod rosyjskiej żulii, a żydowskie matki nie wrzucały swoich dzieci w ogień, tylko wyrzucały z płonących domów, próbując je ratować, ale Hłasce to nie wystarczało.

*

Moja matka i Uszer wymknęli się w 1957 do Izraela przez furtkę, której uchylił Żydom Gomułka. Wymknęli się, bo Uszer, będąc zaopatrzeniowcem w spółdzielni galanteryjnej imienia gen. Karola Świerczewskiego, nielegalnie kooperował z prywaciarzami i prędzej czy później by go zamknęli. Przed wyjazdem wzięli rozwód, żeby wywieźć dwie lodówki, dwie pralki, dwa sowieckie radia Mir z adapterem, dwa enerdowskie magnetofony oraz fortepian i pianino, aby ich siedmioletni synek, który właśnie nauczył się gamy, mógł ją ćwiczyć zarówno u matki, jak i ojca. W Tel Awiwie spieniężyli oba instrumenty i większość powyższych ruchomości i kupili za to półtora pokoiku z kuchenką na Cafonie, nowiutkiej dzielnicy wybudowanej za pieniądze z Niemiec – lekkie nowoczesne budynki z przewiewnymi podcieniami, cienistymi wykuszami, trawniczkami i żywopłotami – za pieniądze, które Niemcy wytoczyli ze starych żydowskich dzielnic i miasteczek jak krew, i nawet nazywano te pieniądze blood money. Nowa dzielnica za stare żydowskie pieniądze pachniała niemiecką czystością i nawet posługiwała się niemieckim językiem, bo blood money dostali w pierwszym rządzie Żydzi, którzy uciekli z Niemiec.

Po niemiecku porozumiewało się również starsze i średnie pokolenie uchodźców z Polski, którym trudno było nauczyć się hebrajskiego, a macierzystego jidysz unikano, bo był językiem Żydów, których Izrael się wstydził. – Jak można było tak się dać wymordować? – Trzeba było walczyć, nożami, tasakami, pazurami! – Mydełka! – tak nas przezywano, więc mama jak szła do sklepu, to mówiła po niemiecku.

Hłasko uważał, że Izraelczycy to już nie Żydzi. „Patrząc na tych i tamtych, trudno było uwierzyć, że należeli do jednego narodu. Przypuszczam, że ci, urodzeni tutaj, także nie bardzo w to wierzyli...” – pisał (w *Drugim zabiciu psa*), porównując ich z turystami na telawiwskiej plaży.

On też mówił tu po niemiecku, i ze swoją dziewczyną, i w barach. W Warszawie mało kto by sobie na to pozwolił. Szedłem raz z kolegą z dziennikarki Nowym Światem, nosiliśmy wtedy uniwersyteckie białe rogatywki, zatrzymuje nas dwóch facetów w szarych borsalinach i coś mówią po francusku. – Do you speak English? – spytał mój kolega. Próbowali, ale im to nie wychodziło. – Sprechen Sie Deutsch? – zapytałem. – Oh, wir sind doch Deutsche... – odpowiedzieli nieśmiało. W Tel Awiwie nie musieliby się krępować.

Żołnierze chodzili w angielskich mundurach i śpiewali rosyjskie piosenki. W przekładzie, ale z rosyjskim refrenem: Artyleristy, Stalin dał pri-kaz, artyleristy, za-wiot at-czizna nas! Niby żartem, ale wielu uważało, że Stalin uratował im życie, a dalsze słowa: Sotni, tyszczi batie-rirej za slozy naszych matie-rirej – były tu celniejsze i nośniejsze niż w Rosji, zaś okrzyk: Za naszu rodinu a-goń! a-goń!, kojarzył im się z rodziną, bo lepiej rozumieli po polsku niż po rosyjsku.

Przy stolikach wystawionych przed kawiarniami na Allenby i Dizengoff słyszało się polski. Przeważnie szwecery (tacy, co koniecznie chcą zaimponować) i paniusie żywcem z przedwojennej Warszawy i powojennej Łodzi. Niemieccy Żydzi nie mieli tyle czasu na kawiarnie. Po polsku mówiło także „Gomułkowo” na obrzeżach miasta, w nowych blokach Bat-Jamu i Holonu, gdzie mieszkała „alija” (imigracja) październikowa.

– Jak tam Gomułka? – pytali mnie jak o dobrego znajomego, nawet ci, co uciekli zaraz po wojnie, a nawet uchodźcy z innych krajów.

Gomułka był tu bardziej popularny niż w Polsce. I czemu nie? Wypuszczał Żydów, i to za darmo, pozwalał im zabrać z sobą lodówki i pralki, przepuszczał „repatriantów” z Rosji – ilu jeszcze tak łaskawych faraonów mieli Żydzi w swojej historii?

Polski słyszało się wszędzie. Stałem w kolejce do garmażerii.

– Zaraz wracam – mówi do mnie po polsku pani stojąca przede mną.

– Skąd pani wiedziała, że ja mówię po polsku? – spytałem, gdy wróciła.

– Nie wiedziałam.

– To dlaczego mówiła pani do mnie po polsku?

– Bo ja zawsze mówię po polsku.

Mówiła również po polsku do sprzedawcy, który wprawdzie odpowiadał na migi, lecz bezbłędnie zapakował jej pół kurczaka i pół kilo wątróbki cielejcej.

Zwróciłem się po angielsku do policjanta.

– Where are you from? – spytał.

– Poland.

– To dlaczego od razu tak nie mówisz?

Hłasko twierdził, że w Izraelu wszyscy policjanci umieli po polsku. On wiedział.

Pojechałem do Jerozolimy z Iziem, kolegą z łódzkiej szkoły żydowskiej. Wchodzimy do Knesetu.

– Spytaj, czy można wejść na salę – mówię do Izia.

Izio pyta po hebrajsku, portierka odpowiada, Izio tłumaczy, że teraz jest przerwa w obradach.

– Spytaj, kiedy się zaczyna znowu.

Izio pyta, portierka odpowiada, Izio tłumaczy.

– Spytaj, czy można wejść tylko popatrzeć.

Izio pyta, portierka odpowiada, Izio tłumaczy, że tylko na galerię. Idziemy.

– Nie tędy, tamtymi schodami na prawo! – woła za nami portierka po polsku.

„Gomułkowo” nie tylko mówiło, ale i czytało po polsku. Więcej niż Chicago czy Buffalo. Sprowadzano wszystkie nowe książki i czasopisma. Wydawano dwie gazety codziennie, tygodnik, który był odpowiednikiem „Po prostu” i nazywał się „Po prostu w Izraelu”, oraz

dwutygodnik, który przypominał „Współczesność” i nazywał się „Od nowa”. I kto na pierwszej stronie? Hłasko. Skórzana wiatrówka, młodzieńcza czupryna, ironiczne spojrzenie Jamesa Deana, uniesione brwi i po męsku zmarszczone czoło Humphreya Bogarta, w kąciku ust męski grymas Humphreya Bogarta i młodzieńczy kaprys Jamesa Deana. Siedzi pochylony do przodu, podparty łokciami, w palcach obu dłoni obraca swój mistrzowski długopis.

Zaniosłem im wiersz zatytułowany *Mazowiecki krajobraz*, bardzo chętnie przyjęli.

– Do której grupy poetyckiej pan należy? – spytali.

– Jeszcze nie wiem – powiedziałem, nie wyjaśniając, że to mój pierwszy wiersz i że napisałem go tu, w Izraelu.

Krajobraz uzupełniało komunistyczne pismo „Walka”, które redagował rodzony brat Jakuba Bermana, przedrukowując z polskiej prasy, co chciał, bez pytania i nic nie płacąc. Jakub przynajmniej płacił. Polska, która kiedyś daremnie się domagała kolonii, teraz ją miała. A przynajmniej mogła mieć. Mogła eksportować tu książki, których zawsze miała za dużo, w zamian za cytryny i pomarańcze, których jej zawsze było brak.

Hłaskę wszyscy znali i wszystko o nim wiedzieli, nawet tacy, co nie czytali żadnej jego książki – jak w Warszawie. Siedział na plaży w półkożuszkach bez rękawów, w zgrabnych, obcisłych dokerkach i zgrabnych kowbojskich kamaszach. Zdrowa opalenizna jak charakterystyka filmowa pięknie kontrastowała z płowięjącymi od słońca włosami. Kręciło się przy nim paru przybocznych wielbicieli na poza tym pustej plaży, gdzie w styczniu oprócz Hłaski nikt się nie opalał, na cichej plaży, nad którą nie sterczał jeszcze żaden amerykański drapacz nieba – nie chmur, bo ich nie było – tylko białe pasma przyziemnego, ciepłego bauhausu odcinały ultramarinę morza od ultra-

maryny nieba. Wszyscy wiedzieli, że to Hłasko, i pokazywali mi z daleka jego leżak, ale radzili nie podchodzić, bo bije w zęby.

– Wracam niedługo do Polski, może chciałby pan coś przekazać? – spytałem.

Nie dał mi w zęby, przeciwnie, przyciągnął mi leżak. Nie wspomniałem mu o moim pierwszym kroku we „Współczesności” ani w „Od nowa”, bo nie śmiałem, jako pisarz był dla mnie Bogiem. Przedstawiłem się tylko jako aktor z Teatru Żydowskiego, a jemu imponowali aktorzy, sam chętnie zostałby aktorem, na przykład Jamesem Deanem i Humphreym Bogartem, najchętniej w jednej osobie.

Wstąpiliśmy do baru na Allenby i do baru na Dizengoff.

– Maheczo! Maheczo! – witali go barmani.

Był wysokim blondynem, jakich w Izraelu – kilkanaście lat po Zagładzie – wprost uwielbiano. Reporterzy za nim chodzili, stawiali mu stock 84 i czekali na awanturę, a on nie miał nic przeciwko temu, narzekał tylko na brak godnych przeciwników.

– Wysoko rosną na tutejszych surówkach i sokach i wyglądają na chojraków, ale raz dobrze walnąć, to się przewracają. Za mało mięsa jedzą...

Mieszkał w sublokatorskim pokoju na parterze z niekrępującym wejściem od ogrodu. Czarne żelazne łóżko, czarne biurko, na podłodze przy łóżku gazety, na biurku *Ósmy dzień tygodnia* po angielsku i paryskie wydanie *Cmentarzy* łącznie z *Następnym do raju*, za które został w Warszawie wyklęty i skazany na śmierć literacką. Mówił, że wcale nie chciał zostać za granicą, że został, bo mu nie dali wyboru, i słyszałem gorycz w jego głosie.

Zaskoczyło mnie to – taki Hłasko, a taki naiwny? Co on myślał, że mu darują? Jemu, którego głos był donośniejszy niż całej ich zgrai najemnych półinteligentów, prosta-

ków, cwaniaków? Mieli okazję się go pozbyć, to się pozbyli, kalkulując – i okazało się słusznie – że z daleka będzie dużo mniej szkodliwy (tę politykę „otwartych drzwi” stosowali później często i nawet na masową skalę). Myślałem, że on jako samouk uniknął indoktrynacji i kastracji, jakiej my ulegaliśmy w liceum i na uniwersytecie, że nie miał złudzeń jak my, że wiedział, co robi. Po latach już jako uchodźca przeczytałem felietony, które w latach 1954–1956 zamieszczał w „Po prostu”, i ze zdziwieniem stwierdziłem, że były nie mniej wiernopoddające niż nasze wypracowania na dziennikarce – interwencyjne, ale wiernopoddające. A więc był frajerem jak my wszyscy. Może nawet większym, bo on sam się tego frajerstwa uczył, sam tresował się i kastrował. I na tym, notabene, polegała metoda i „siła” tego systemu.

Pojechaliśmy autobusem do Necer Sereni, kibucu, w którym mieszkała Esther. Postawna, poważna, miała bujne, czarne włosy i pewno była piękna – nie przyglądałem się, bo nie wypadało, ale niepięknych wtedy przy nas nie było. Dostałem gościnny pokój w osobnym domku, z prysznicem i naftowym piecykiem, bo w nocy wilgotny ziąb przenikał do kości. Przychodzę rano na śniadanie, a Hłasko ma na szyi nylonową czarną pończochę zawiązaną jak krawat. Nawet seksownie wyglądała na jego mocnej, opalonej szyi, ale ja nic, nawet nie patrzę. W końcu on nie wytrzymał.

– Widzisz to?

– Widzę.

– Ja się wzruszyłem. A wiesz, co ona powiedziała? „Das ist doch nicht hygienisch”...

Esther usmażyła nam jajecznicę na żółtym serze. Pierwszy raz jadłem coś takiego i bardzo mi smakowało. Roztopia się ser na patelni – bez masła, bo dosyć jest tłuszczu w serze – po czym wbija się jajka i mocno miesza. Jeśli trochę przysmażyć, to ma się aromat i smak jajeczniczy na

boczku, a bez tej wieprzowej trucizny. Nauczyłem tego później parę kobiet, nie ma nic pożywniejszego i potencjalniejszego.

Nie wiedziałem, że Esther była stewardesą i że pode-
rwał ją (albo ona jego) w samolocie El-Al-u, bo poza tą
pończochą nigdy o niej nie mówił. Za to często postługi-
wał się jej imieniem i zawsze w kontekście nieszczęśliwej
miłości. W *Opowiem wam o Esther* nawet ją uśmiercił jak
Hemingway (wskutek ciąży), ale prawdziwa Esther, cała
i zdrowa, odwiedziła go dużo później (jesienią 1966)
w Kalifornii i przypuszczalnie spotkał się z nią także
w swojej ostatniej rundzie (wiosną 1969) w Izraelu.

Po śniadaniu Esther poszła do swoich kibucowych za-
jęć, a my chodziliśmy po gajach uginających się pod po-
marańczami i Hłasko recytował mi dialogi ze *Zbrodni i kary*
miękkim, „warszawskim” dialektem („jakiebyś śmiał,
panie komisaziuuu...”) i podejrzewam, że we własnym
przekładzie. Potem on wrócił do Tel Awiwu, a mnie tak
się spodobały rajskie ogrody kibucu, że zostałem tam parę
tygodni i pomagałem zbierać pomarańcze, a później zro-
biłem z tego swoje najpiękniejsze opowiadanie, *Jidit*, też
z dziewczyną w tytule i też trochę zmyśloną.

– Ty wracasz tam? – dziwili się, gdy wyjeżdżałem.